



KLIMEK



POLSKIE TOWARZYSTWO TATRZAŃSKIE
BIULETYN INFORMACYJNY ZARZĄDU
ODDZIAŁU SOSNOWIEC

ROK XV

PAŹDZIERNIK 2010

4(57)

XXV Zimowe Wejście na Babią Górę.

Zawoja to rozciągająca się na długości ponad dziesięciu kilometrów, jedna z najdłuższych wiosek w Polsce. To bardzo atrakcyjnie położona miejscowość Beskidu Żywieckiego. Zabudowania są rozłożone w dolinie rzeki Skawicy, niosącej wody spływające z samej Babiej Góry, wprost do Skawy.. Położenie osady nieopodal majestatycznego wzniesienia tego regionu, które jak magnes przyciąga turystów rządzonych wrażeń. To właśnie Babia Góra wyróżnia się tą majestatyczną sylwetką spośród innych wzniesień położonych wokół niej. Szczytowa kopuła jest tak charakterystyczna, że doskonale można ją zlokalizować z różnych miejsc. Ludzie zdobywają jej szczyt od co najmniej 500 lat, lecz dopiero od XVIII wieku są udokumentowane przez turystów i badaczy wejścia na jej szczyt. Nazywana jest Babią Górą, Wielką Magurą, Królową Beskidów oraz Matką Niepogód. Babia Góra słynie ze wspaniałych widoków i dlatego przynajmniej jeden raz w roku wędruję na jej uroczy grzbiet. Walorami Babiogórskiego Parku Narodowego można się zachwycać przez cały rok – tak zimą jak i latem, są one zawsze niepowtarzalne.

Już w XVI wieku pierwszymi osadnikami w tym regionie byli pasterze wołoscy, którzy w poszukiwaniu nowych terenów wypasowych dotarli tam z okolic Siedmiogrodu. Rejony obecnego Beskidu Żywieckiego były bogate w pastwiska, więc osiedlili się tu na stałe. Pierwsze wzmianki już z 1593 roku dotyczą wsi Skawa, późniejsze, wsi Zawoja. Powstała osada pasterska, która później zaczęła zyskiwać miano miejscowości turystyczno - wypoczynkowej. Dzisiejsza Zawoja jest najczęściej odwiedzaną wsią w Beskidach, zarówno w lecie jak i zimą. W okolicy poprowadzono wiele szlaków biegnących nie tylko na Babią Górę, ale też na inne beskidzkie wzgórza i szczyty. Latem ciekawą atrakcją może być wycieczka na Halę Barankową, gdzie zmęczony turysta dostanie oryginalnego oscypka, a spragniony posmakuje ożywczej żętycy.

Cała Żywiecczyzna słynie z pięknych krajobrazów. Wyniosłe szczyty sąsiadują z malowniczymi dolinkami, które są poprzecinane licznymi potokami. Zwykle w tych uroczych kotlinach ulokowały się miejscowości zachowujące tradycyjną, ludową zabudowę i pielęgnujące żywą góralską kulturę. Górale babiogórscy to grupa etniczna - zamieszkująca północne stoki Babiej Góry - zaliczana do grupy górali beskidzkich.

Na początku XX wieku zaistniały tam silne wpływy mieszkańców podhalańskich osad oraz licznie przybywających turystów. Właściwy im strój ludowy został całkowicie zapomniany. Dopiero niedawno, staraniem Stowarzyszenia Gmin Babiogórskich - odtworzono tradycyjne ubrania, pasujące do kultury pasterzy wołoskich. Obecnie możemy podziwiać te piękne Babiogórskie stroje

podczas występów zespołów folklorystycznych : „Babiogórcy”, „Juzyna”, „Zbyrcok”, „Zbójnik”, „Holny” czy „Ziemia Suska”.

Ten region posiada obecnie wiele różnorodnych wyciągów narciarskich, które zimową porą są wielką atrakcją, przy konkurencyjnych cenach. Dla miłośników białego szaleństwa zainwestowano tam w nowoczesne wyciągi, a o utrzymanie stoków dbają operatorzy ratraków oraz liczne armatki śnieżne.

Kolejnym ciekawym szczytem w okolicy, jest Pilsko - 1557 m n.p.m. Jego północno-zachodnie stoki w sezonie zimowym stają się prawdziwym rajem dla amatorów białego szaleństwa. Liczne wyciągi i trasy zjazdowe spełniają oczekiwania najbardziej wymagających narciarzy.

Będąc w Zawoi warto zwiedzić zabytkową, drewnianą karczmę z podcieniami z 1836 roku. Również ciekawą budowlą jest drewniany kościół parafialny Św. Klemensa Papieża i Męczennika. Znajduje się on w Zawoi Centrum – gdzie został wzniesiony już w latach 1757-59, został gruntownie przebudowany w roku 1888. Jego bryła nawiązuje do wzorów niemieckich i szwajcarskich, toteż różni się znacznie od typowych polskich kościołków drewnianych. Ciekawostką jest konstrukcja sumikowo-łatkowa, wzmocniona żeliwnymi kolumnami. To rozwiązanie pozwoliło na dostępność sporych rozmiarów naw bocznych w świątyni. We wnętrzu można podziwiać polichromię z 1930 roku oraz oryginalny XIX-wieczny ołtarz główny.

Zawoja – Policzne to zabytkowa kapliczka Zbójnicka. Prawdopodobnie pochodzi ona z końca XVII lub z początku XVIII wieku. Jest to kapliczka domkowa, wybudowana z polnego kamienia, otynkowana, nakryta gontowym dachem z cebulastą banią. Otaczają je stare lipy stanowiące pomniki przyrody. Według tradycji jej fundatorami byli zbójnicy, którzy wzniesli ją jako wotum aby przebłagać za swoje grzechy. W XVIII stuleciu w rejonie Babiej Góry działały znane hałastry zbójnickie - między innymi Józefa Baczyńskiego zwanego Skawickim i Proćpaka z Kamesznicy. WWW.ZBOJNICKISZLAK.PL
Skansen budownictwa i sztuki góralskiej utworzony przez PTTK na Markowych Równiach. Skansen ten jest często bazą różnego rodzaju imprez kulturalnych, służy jako naturalna scenografia dla występów zespołów regionalnych.

Zawoja Barańczowa – to willa Polskiej Akademii Nauk wraz z Ośrodkiem Edukacyjnym BPN założonym w 1930 roku.

Już w 1906 roku powstało schronisko PTTK na Markowych Szczawinach, obecnie powstał na jego miejscu nowoczesny obiekt turystyczny. Od połowy listopada 2009 roku otwarto nowe schronisko, które znajduje się na wysokości 1180 m n.p.m.

Piękne i nowoczesne schronisko posiada 40 miejsc noclegowych w pokojach 2, 3, 5 i 7 osobowych w cenie od 27 do 45 zł za osobę. Budynek nowego schroniska ma dwie kondygnacje i użytkowe poddasze, posiada jadalnię, z której może korzystać 50 osób, kuchnię turystyczną i suszarnię odzieży. Przystosowany jest do obsługi osób niepełnosprawnych. Jest bezpieczny dla środowiska, posiada biologiczną oczyszczalnię ścieków. Charakteryzuje go niskie zapotrzebowanie na energię cieplną. Ciepła woda użytkowa ogrzewana jest przez 12 kolektorów słonecznych. Ogrzewanie budynku wspomaga buforowy zasobnik energii cieplnej.

Dla docierających tu turystów przede wszystkim potrzebna jest gorąca herbata, niektórzy bywają przemoczeni i zmęczeni – więc to zaciszne, ciepłe schronienie jest tam bardzo potrzebne.

Ośrodek Turystyki Górskiej PTTK na Markowych Szczawinach – jest najstarszą tego typu placówką w polskich Karpatach, którą otwarto 25 września 1966 r. Inicjatorem i głównym twórcą powstania Muzeum był znany działacz turystyki górskiej Edward Moskała (1926-1995).

Szlaki prowadzące do schroniska i na szczyty w rejonie Babiej Góry.

-szlak zielony: z Zawoi Markowej do schroniska PTTK Markowe Szczawiny, około 1,5 godziny, z Przełęczy Brona -1408 m na Małą Babią -1517m około 1 godziny.

- szlak czerwony: z Markowych Szczawin -schronisko PTTK na szczyt Babiej - Diablak poprzez

Przełęcz Brona -1408 m npm. około 2 godziny.

- szlak żółty: z Markowych Szczawin od schroniska PTTK – tzw Perć Akademicka na Diablak - najtrudniejszy szlak, ale i najciekawszy, dla doświadczonych turystów, zaleca się ruch tylko w górę, a powrót inną trasą.

- szlak czerwony: z Przełęczy Krowiarki na Diablak poprzez Sokolicę -1367 m npm, Kępę -1521 m npm. i Gówniak -1617 m npm.

Turystyka nie tylko przynosi konkretne korzyści społeczno-ekonomiczne mieszkańcom regionu, ale też chroni dobrą przyrodę i krajobrazu, stanowiące przecież najcenniejszy stymulator lokalnego rozwoju. Walory różnorodnych form turystyki tworzą niepowtarzalny wizerunek małej zawojskiej ojczyzny w Polsce, w Europie oraz w całym świecie.

Beskid Żywiecki to niezwykle ciekawy region położony w Polsce południowej, na granicy województwa śląskiego i małopolskiego. Rozciąga się on pomiędzy górnym biegiem rzeki Soły na zachodzie oraz Orawki i Skawy na wschodzie.

Wraz z Tatrami, Beskidy tworzą najwyższe pasma górskie w polskiej części Karpat. Cały Beskid Żywiecki, to macecznik górskiej flory i fauny. Najwyższym szczytem jest tu Babia Góra mająca 1725 m npm. Cały jej obszar należy do Babiogórskiego Parku Narodowego, który od 1977 roku w całości jest rezerwatem biosfery UNESCO. Grzbietem masywu Babiej Góry przebiega Europejski Dział Wodny, oddzielający zlewiska **Morza Bałtyckiego** i **Morza Czarnego**.

Największą atrakcją turystyczną Parku jest szczyt Babiej Góry - Diablak. Wznosi się kilkaset metrów ponad sąsiednie szczyty i jest doskonałym punktem widokowym. Ten najwyższy szczyt polskich Beskidów wyraźnie odróżnia się wśród okolicznych wyniosłości. O jego wyjątkowości decyduje szczególnie krajobraz alpejski z kosodrzewinami i gołoborzami, jak również unikalne bogactwo przyrody. To jedyna w Beskidach góra posiadająca faunę i florę prawie jak alpejskie szczyty. Babia Góra to szczyt na który prowadzi karkołomny szlak - na zdobycie którego trzeba się odpowiednio przygotować, trzeba się zabezpieczyć przed chłodem, deszczem, należy zaopatrzyć się w odpowiednie obuwie, gdyż panuje tu niezwykle zmiennosc pogody. Potrafi być naprawdę niebezpieczna, szczególnie zimą zapewnia turystom niezapomniane wrażenia. Powstało wiele legend o tym tajemniczym szczycie. Ponoć diabeł już nie mieszka na Diablaku, odkąd odprawiane się tam Msze Św. Podobno przez pierwszy rok czy dwa próbował to znosić i chował się pod kamieniami, zgrzytał zębiskami i wył rozpaczliwie, ale ostatecznie dał za wygraną i wyprowadził się. Dokąd się przeniósł? Czy chodzenie po szczycie jest bezpieczne? Niestety - tego nie wie nikt. Została po nim tylko legendarna nazwa szczytu – Diablak.

Większość uczestników jubileuszowego wyjazdu do Zawoi, wybrała się rankiem czwartego marca 2010 r zdobywać ten legendarny szczyt. Był to przecież główny punkt imprezy dla członków i sympatyków PTT.

Piękny poranek, prawie czyste niebo – szczyt na wyciągnięcie ręki, a po godzinie....

Pochmurno, padający śnieg, szaro, ponuro po prostu beznadziejna widoczność. Idąc z Zawoi Markowej na Markowe Szczawiny zastanawiam się czy z Brony będzie widać chociaż Małą Babią. No ale to nic. Okazało się, że wcześniejsza odwilż i nocny mróz zamienił podejście w lodowy koszmar. Wszyscy uczestnicy musieli się zmierzyć z silnym oblodzeniem na szlaku. Dochodzimy do schroniska, gdzie czekamy na resztę grupy...około osiemdziesięciu śmiałków szczęśliwie tam dotarło. Samo schronisko - no cóż....jak to nowoczesne obiekty, na jadalni białe ściany, ubikacje o naprawdę wysokim standardzie. Dla części turystów, był to jednak koniec wspinaczki. Gościłem pierwszy raz w nowym schronisku, to stare jednak się pamięta, drewniane belki miały swój urok.

Była to pierwsza wizyta w jeszcze surowych Markowych i jakoś nie czuło się atmosfery zacisznej koliby. Ceny są tam raczej rozsądne. Nocować też można w wygodnych warunkach, więc obiekt wart polecenia. Nieco powyżej GOPR-ówki stoi Muzeum Babiogórskiego Parku Narodowego,

gdzie zgromadzono wiele eksponatów i pamiątek związanych z początkami i rozwojem turystyki babiogórskiej oraz powstaniem schroniska na Markowych Szczawinach. Muzeum jest na co dzień zamknięte ale w recepcji schroniska można otrzymać klucz, po zostawieniu w zastaw dowodu tożsamości, obejrzeć ekspozycję. Siedzimy więc w ciepélku, coś jemy, uzupełniamy zapasy ciepłej herbaty....no i ruszamy w drogę. Jeszcze chwila oddechu i żwawo ruszamy na Bronę. Pogoda jakby się poprawiała. Mniej więcej od wysokości 1200 m zaczyna nam świecić słońce. Z Brony niesamowity widok na Królową i morze mgieł w dolinie. To punkt widokowy oraz miejsce uzupełnienia ubioru...przed wywiewiskiem za kosodrzewiną. Tradycyjna w takich warunkach sesja foto i ruszamy w stronę Diablaka. Przez około pół godziny przemierzamy pasmo kosodrzewiny - robi się zdecydowanie cieplej. Moje nierozsądne zejście z ubitego traktu w bok – celem zrobienia ciekawego zdjęcia – kończy się wpadką po pas w zasypanej śniegiem kosówce. Na grani jest prawie upalnie, niemalże brak wiatru, znad morza mgieł wystają tylko Piłsko, Polica, Wielka Racza, Mała Fatra i gdzieś tam na południowym horyzoncie delikatny zarys Tatr. Wszystko to można by spokojnie obserwować, gdyby nie przewalające się chmury. Przed samym szczytem zaczyna mocno wiać. Jednak Diablak musi pokazać kto tu rządzi.

Gdy szliśmy grzbietem Babiej Góry kraina wyglądała jak z bajki. Kto pierwszy raz zobaczył jakieś cuda może wyczynić wiatr do spółki ze śniegiem i mrozem – zapewne ponownie wybierze się tam. Nigdzie indziej, nigdy więcej czegoś takiego nie widziałam. Jest tam otwarta przestrzeń a wiatr sobie hula, rzeźbiąc fantastyczne pejzaże. Na kilka minut przed osiągnięciem szczytu Babiej wchodzę na wzniesienie które wydaje się być najwyższym położonym punktem, ale to jeszcze nie był prawdziwy wierzchołek. Ten można rozpoznać po wiatrochronie, pod którym można spokojnie przycupnąć i schronić się przed szalejącym wiatrem. Odpoczynek na Babiej Górze w zimowych warunkach, przy silnym wietrze, jest właściwie niemożliwy. Dobrze, że na szczycie jest ułożony mur z kamieni, przy którym można szukać schronienia przed Orawiakiem. Bardzo zimnym wiatrem, który jest przeciwstawnym odpowiednikiem ciepłego halnego. Można tam spokojnie otworzyć plecak aby się posilić i spokojnie podziwiać okolicę Diablaka. Tutaj znajduje się drogowy znak informujący nas o zdobyciu Babiej Góry o wysokości 1725 m.n.p.m. Na szczycie spotkaliśmy wielu turystów ze Słowacji, też chroniących się pod tym murem.

Widoki były precudne, na chwilę pokazały się nam Tatry. Nadciągające chmury i mgły to zasłaniały to odsłaniały nam widok. Ziało było straszne - w plecaku co prawda były suche rękawice i ciepła czapka, ale fotografowanie w rękawicach jest niewygodne, więc wybrałem zdjęcia z ręki i marznięcie. Tuż poniżej wiatrochronu, po Słowackiej stronie szczytu, stoi duży obelisk z wmurowanymi granitowymi tablicami. Poświęcony jest naszemu rodakowi papieżowi Janowi Pawłowi II, a postawiony został w 1996 roku przez Słowaków dla upamiętnienia wielokrotnego pobytu Karola Wojtyły na Babiej Górze.

Więc trochę o tym ciekawym turyście...sławnym Papieżu Pielgrzymie.

Jeszcze jako ksiądz Wojtyła, przyjeżdżał „incognito” do swego przyjaciela księdza Mariana Jaworskiego. Późniejszy wyjątkowy Papież właśnie w Zawoi – w ulubionym miejscu wypoczynku, spędzał przez 20 lat urlopy. Sprawował tam równocześnie duszpasterstwo wakacyjne - przez dwa miesiące letnie odprawiał msze święte, prawie codziennie. Zdarzało się, że msze św. odprawiał również w kaplicy, także jako kardynał Wojtyła. Co też mieszkańcy Zawoi szczególnie żywotnie zachowali w pamięci. Często obaj księża wędrowali w góry, z Zawoi na Babią przez Markowe Szczawiny na Krowiarki. Mieli też inne ulubione trasy wycieczek. Często odwiedzali źródło „U zimnej wody”, które znajduje się przy szlaku turystycznym prowadzącym na Krupową Halę. Wodę z tego źródła pijał najznamienitszy turysta naszych czasów, wielki miłośnik gór – Papież Jan Paweł II. Jeszcze jako kardynał Karol Wojtyła szedł na swą ostatnią wycieczkę ze Skawicy na Halę Krupową przez Policę na Krowiarki. A było to we wrześniu 1978 roku, tuż przed wyjazdem na konklawe do Rzymu. To właśnie Kardynał Wojtyła – przyczynił się do wybudowania wiatrochronu na Diablaku. W 1986 roku biskup Jaworski relacjonował w Watykanie – wiatrochron

jest okazałych rozmiarów - więc może się za nim schronić nawet kilkadziesiąt osób jednocześnie. Papież podarował Zawoi obraz Patronki - Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Pamiątkowy prezent umieszczony został w ołtarzu, opatrzony jest odręcznym podpisem Ojca Świętego „Jan Paweł II,

25.III.1986". To kardynał Marian Jaworski towarzyszył umierającemu Papieżowi w ostatnich chwilach życia i udzielił Mu sakramentu namaszczenia chorych.

Obecnie mieszkańcy tego regionu też doceniają osoby zasłużone dla promowania piękna okolic Zawoi. Ostatnio wyróżniony został jako „Honorowy Obywatel Gminy Zawoja” - pan profesor Krzesław Stokłosa. Obecnie mieszkaniec Zawoi....który pewnie mógłby wiele ciekawostek opowiedzieć...Był jednym z aktywnych założycieli Muzeum Turystyki Górskiej PTTK na Markowych Szczawinach.

Czym więc jest ta magiczna góra, że przyciąga tak wybitne osobowości? Co takiego daje zdobycie jej szczytu?

Szczyt Babiej Góry pozwala przy dobrych warunkach podziwiać wspaniałą panoramę beskidzką. Gdy z prawej strony ukazuje się w całej okazałości Mała Babia Góra, to mamy na wprost siebie wielkie Jezioro Orawskie. Patrząc z Babiej w kierunku zachodnim - dostrzegamy Pilsko. Spoglądając na lewo od Pilska, mamy widok na Małą i Wielką Fatrę oraz Tatry Zachodnie i Wysokie.

Tylko z wierzchołka Babiej - przy bezchmurnym niebie można zobaczyć cały Beskid Śląski, Makowski, Żywiecki, Gorce, Tatry, całe pogórze Słowacji. Szczęśliwcy ponoć, przy wyjątkowej przejrzystości powietrza, to nawet przedmieścia Krakowa rozpoznają.

Krótki pobyt na szczycie, herbata, czekolada i co kto może...aby uzupełnić kalorie. Jeszcze tylko grupowa fotka naszej wesołej i zadowolonej z kolejnego wejścia grupy.. Po udokumentowaniu tego jubileuszowego wejścia ruszamy na dół. Czasu było sporo, ale przenikliwy wiatr i zimno doskwierało coraz bardziej, więc trzeba było stamtąd zwiewać. Wiało strasznie, chmura przestłoniła szczyt, grań miejscami była wywiana do lodu, ale schodziło się dobrze, choć przy ograniczonej widoczności. Zejście ze szczytu jest nieco trudniejsze i trochę niebezpieczne, gdyż płaskie kamienie nie są tam dobrze umocowane i kiwały się mimo oblodzenia - przy niewielkiej dekoncentracji można było stracić równowagę i ześlizgnąć się w dół. Na szczęście ten fragment szlaku nie jest zbyt długi - zaledwie kilka minut takiego zejścia a potem jest to już śnieżna czapa. Szlak usiany jest wystającymi kamieniami, gdzieś tam oznaczają trasę szlaku. Ścieżka ta w pewnym momencie mocno zbliża się do krawędzi urwiska - idąc tędy we mgle, trzeba to mieć na uwadze i baczyć, by nie zrobić tego jednego nierozważnego kroku. Niby urwisko nie jest wielkie, ale za to najeżone jest wystającymi kanciastymi głazami. Szczególnie jest niebezpieczne w porze zimowej. Wiadomo czym może się to skończyć chodzenie po oblodzonych i niestabilnych skałkach! Z tego właśnie miejsca pięknie prezentuje się Akademicka Perć - najtrudniejszy beskidzki szlak wiodący z Markowych Szczawin na szczyt Babiej Góry. Wracając można było podziwiać Małą Babią-1517m, która akurat została odsłonięta. Nad Przełęczą Brona spotykam kilka osób korzystających z ostatnich promieni słońca - oni wraz ze mną wracają....jest za późno na dalszą wspinaczkę. Po około dwóch godzinach doszliśmy znów do schroniska. Robimy krótki odpoczynek na Markowych Szczawinach, gdyż to co nosiłem do tej pory w plecaku, trzeba było wreszcie zjeść. Na szczycie było tak zimno, że tylko chciało się pić. Wdaję się w dyskusję z siedzącymi obok turystami na temat znaczenia nazwy - Babia Góra. Do tej pory znana mi była tylko jedna hipoteza mówiąca, że nazwa pochodzi od domniemyanych spotkań czarownic na jej szczycie w noc Św. Łucji. Okazuje się, że tych podań jest więcej: a to że została usypana przez kobietę wielkoluda, albo że jest kobietą zastygłą -nieprzystępną i łagodną - w oczekiwaniu na swego lubego, wreszcie że słowo baba w języku staropolskim oznaczało coś masywnego, ciężkiego. Chyba jest najbliższe prawdy właśnie to wytłumaczenie, gdyż masyw Babiej rzeczywiście jest ciężki i przysadzisty. Choć rozmowa toczyła się bardzo przyjemnie to jednak konieczność powrotu zmuszała nas do ruszenia dalej. Przemykamy się między drzewami wzdłuż szlaku zielonego, gdzieś w oddali szmerze strumyk a ciszę przerywa tylko monotony rytmiczny stukot naszych butów. Zejście od schroniska przez las, to też nie lada wyczyn, można było zjeżdżać na czym kto chciał...trzeba było się dobrze asekurować, no i uważać na oblodzenie.

Szczególnie niebezpieczne są strome odcinki duktów leśnych na zielonym szlaku wiodącym do Zawoi Markowej. Udajemy się asfaltową drogą prowadzącą do Zawoi Wideł, gdzie mamy szansę na złapanie jakiegoś pojazdu. Jest akurat bus...więc zadowoleni jedziemy pod Krakowiankę. Po

drodze minęliśmy po prawej stronie siedzibę Muzeum Babiogórskiego Parku Narodowego i po raz ostatni mogłem spojrzeć na Babią. Niestety – marcowa aura ma swoje prawa...jak poranek był piękny, to wieczorem było pochmurnie.

Tak więc zostało się odświeżyć przed wieczorną kolacją. Była to kolejna wesoła biesiada, która uświetniała jubileuszowe XXV wejście na szczyt Babiej Góry. Bardzo zadowoleni z udziału w naszej imprezie byli - **Prezes ZG PTT Włodzimierz Janusik i V-ce Prezes ZG PTT Jerzy "Halny" Krakowski**. Goście zobaczyli wcześniej - czyli dnia trzeciego marca prezentację multimedialną pt. **"24 lata Zimowego Wejścia na Babią Górę"**. Było to ciekawe, no i historyczne już podsumowanie wypraw sosnowiczian na Diablak. Prezentację przedstawiał kolega Zbigniew Jaskiernia, założyciel i mentor tej imprezy. Dodatkowo Oddział Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Sosnowcu świętował 15 rocznicę reaktywacji na terenie Zagłębia. W związku z tymi jubileuszami przewidziano kilka niespodzianek dla uczestników. Bardzo ciekawym akordem był konkurs wiedzy himalaistycznej, prowadzony przez Janusza Nabrdalika i wiedzy turystycznej, prowadzony przez Zbigniewa Jaskiernię. Dla najlepszych przygotowano nagrody w postaci sprzętu ufundowanego przez firmę "Lhotse" z Sosnowca. W tej rocznicowej imprezie wzięło udział prawie 150 osób, które były zakwaterowane w DW "Krakowianka", DW "Słoneczko" oraz na kwaterach prywatnych w Zawoi Składach.

Głównym obiektem imprezy był ośrodek wczasowy Krakowianka, to tam w wieczornym koncercie wystąpił zespół **"Słodki całus od Buby"**. Można było śpiewać, można było tańczyć, zabawa trwała długo. Dla zgłodniałych nieco zmęczonych – podano pieczonego prosiaka. Tak więc godnie zostały uczczone jubileusze naszego PTT. Wszystko to w pięknie położonym obiekcie, w pięknym, malowniczym krajobrazie Beskidu, z widokiem na szczyt Babiej Góry. DW **"Krakowianka"** był w pełni zajęty przez naszą stu siedemnastoosobową grupę turystyczną Oddz. PTT Sosnowiec.

W niedzielne przedpołudniowe pakowanie, choć w Zawoi było niedaleko do karczmy, my wracając, odwiedzamy Rzym.

W drodze powrotnej - piątego marca - tradycyjnie wstąpiliśmy na obiad do Karczmy **Rzym**, jest to niewątpliwie **najsłynniejsza atrakcja** Suchej Beskidzkiej. Tak czy owak serwuje się tu oryginalnie nazywane specjały, jak Mikstura Szatańska, Diablik Twardowskiego czy Napitek Zbójnicki. Jednak ja wybieram sprawdzony żurek suski.

Ta stara karczma, jest to zabytkowa **drewniana budowla zrębowa** z dużym czterospadowym, gontowym dachem wysuniętym w formie arkadowego podcienia opartego na słupach. Z centralnie usytuowanej sieni na lewo wchodzi się do restauracji. Wnętrza są drewniane, pięknie ozdobione ręcznie rzeźbione.

Karczma w Suchej powstała najprawdopodobniej w XVIII wieku, w miejscu odbywania się sławnych jarmarków. Nazwą nawiązano do **ballady A. Mickiewicza** - Pan Twardowski – który to zaprzedał duszę diabłu...właśnie w Suchej Beskidzkiej.

Mamy tam szczęście spotkać ówczesnego kandydata na Prezydenta RP, Pana Marszałka Komorowskiego. Zamieniamy parę słów o turystyce górskiej, no i dostajemy podpis na naszej rajdowej koszulce. Tak więc cała wyprawa kończy się wspaniałym podsumowaniem, choć na końcowych kilometrach zawodzi nas autokar. Tylko dzięki opanowaniu kierowcy...bezkolizyjnie docieramy pod Dworzec w Sosnowcu.

Taki ogrom wrażeń pewnie wszystkim uczestnikom pozostanie długo w pamięci. Serdecznie pozdrawiam uczestników i zapraszam na kolejne eskapady.

Czesław Kluczny.

Szlak husarii polskiej- część II

Ze wzgórza 350 m npm rozległy widok na okolice. Również na wzgórzu ślady niezidentyfikowanego zamczyska, porośniętego lasem. Na kapliczce przy ul. Powstańców Śląskich tablica dla uczczenia powstańców, poległych w walce o powrót Śląska do Polski. W pobliżu zalew o powierzchni 580 ha i objętości 16 mln m³.

Dalej szlak nas prowadzi bitą drogą wzdłuż „Sadu Świerklanieckiego” do wsi Orzech. Wzdłuż zabudowań zmierzamy do przejazdu kolejowego, a następnie obok stacji kolejowej Nakło Śląskie ścieżką polną obok torów kolejowych do obwodnicy wokół Tarnowskich Gór. Przecinając obwodnicę dochodzimy do głównej drogi: Bytom- Tarnowskie Góry i skręcając w prawo podążamy do torów kolejowych i znajdującego się obok ronda. Kluczając uliczkami dochodzimy do rynku.

Tarnowskie Góry należą do najstarszych w Polsce miejscowości związanych z górnictwem, głównie srebra i ołowiu. Miasto gościło królów: Jana III Sobieskiego (1683 r), Augusta II Mocnego (1697 r) i Augusta III w 1734 r. Miasto uroczne i godne zwiedzenia. Na rynku rozwidlenie szlaków: czerwonego, żółtego i czarnego.

Odcinek: Tarnowskie Góry- Mikulczyce

Odcinek Tarnowskie Góry- Mikulczyce: 17 km. Rynek opuszczamy przy winiarni Sedlaczka mijając zabytkowe kamieniczki z podcieniami. Następnie budynek dawnego urzędu górniczego z wmurowaną tablicą pamiątkową, kościół parafialny z dzwonnica gwardów , po czym następuje rozwidlenie szlaków. Czarny prowadzi w lewo do kopalni zabytkowej; żółty w prawo do Sztolni Czarnego Pstrąga, a czerwony skrajem przecina obwodnicę tarnogórską i polami do Rept Starych. Osiągamy Repty Stare i skręcamy w prawo, a następnie wspinamy się do góry pozostawiając kościół. Za wsią skręcamy w lewo i po pewnym czasie nietypowo znakowanym szlakiem wchodzimy do lasu. Lasem idziemy, aż do biwaku i wchodzimy na drogę Stolarzowice- Ptakowice. Skręcamy w lewo i po pewnej chwili zniżamy się obok pól i zabudowań. Następnie kluczając po lesie Górnika wchodzimy w głębinę lasu i po kilku kilometrach osiągamy pola w Wieszowej.

W Wieszowej około 1840 r była tu kopalnia galmanu „Leopold”, kopalnie rud żelaza, wapiennik i potażarnia. Z Wieszowej pochodził Józef Piernikarczyk (1885- 1946), samouk, pierwszy polski historyk górnictwa i hutnictwa, profesor polskiego gimnazjum w Tarnowskich Górach.

Z Wieszowej pod górę wchodzimy na aleję wysadzoną drzewami i prowadzącą w linii prostej niemalże do Grzybowic. Przecinamy drogę :Gliwice- Tarnowskie Góry i dochodzimy do Zabrze –Mikulczyce do dworca kolejowego.

Należy podkreślić, że te duże miejscowości od 1951 r należą jako dzielnice do Zabrze. W Grzybowicach w okresie międzywojennym działało koło Związku Polaków w Niemczech, gromada zuchów i drużyna polskich harcerzy. Jak głosi legenda założyciel wsi polecił pochować się na miejscu pochówku zmarłej żony, wraz z psem i kotem i workiem pieniędzy w parku dworskim, z którego pozostało kilka lip.

Ciąg dalszy nastąpi..... Opracowanie: Krzysztof Czesak.

WSPOMNIENIE (1957-1985)

Rafał Cholda

pierwsza, polska ofiara południowej ściany Lhotse

Był dość niepozorny. Metr sześćdziesiąt z hakiem w... kasku. Bał za to często mówiono o nim „facet-żyła”. Dobrze się zapowiadał w środowisku wspinaczy.

Nowy wariant drogi na Kazałnicy, wspinaczki na Petit Dru... to robiło wrażenie. 12 sierpnia 1983 roku wraz z Arturem Hajzerem jako pierwsi Polacy stają na wierzchołku Tirich Mira (7706 m), najwyższej góry w Hindukuszu. Potem plany, plany trening, Tatry, Alpy i wreszcie wakacje 1985. Rafał Cholda w składzie polskiej wyprawy na południową ścianę Lhotse... Strach... fascynacja, dylemat? Trudno sobie wyobrazić bardziej spektakularny debiut w górach najwyższych niż atak na ten jeden z największych problemów wysokogórskich w świecie.

Nikt wtedy (i jeszcze długo potem) nie wszedł tamtędy na Numer Cztery na świecie (8511 m). Jasiu Nowak, kolega Rafała z katowickiego Klubu Wysokogórskiego (zginął w kamiennej lawinie na Bhagirati II w 1988), w jednym z listów z bazy pod Lhotse pisał o „niemożliwym...”. Dla nich tak już zostało...

25 października 1985 roku z wysokości ok. 8300 m Rafał Cholda spadł w trzykilometrową przepaść. Wcześniej z Jurkiem Kukuczka poręczowali kolejny kawałek ściany w drodze na nieodległy już wierzchołek...

Nie wiadomo i nie będzie wiadomo, dlaczego... Jurek zdążył zobaczyć tylko zsuwający się po skale plecak...

Rodzice Rafała nigdy nie zgodzili się na to, by wspiął się w jakichkolwiek górach. W tajemnicy skończył kurs skałkowy

i taternicki. Matce, która wiedziała trochę więcej niż ojciec, przyznawał się do wyjazdów w Jurę Krakowsko-Częstochowską. Orlazil po skałach... jak tysiące młodych ludzi. Miał być inżynierem, jak senior Cholda. W tym czasie, pod koniec lat siedemdziesiątych, zapisał się do Harcerskiego Klubu Taternickiego w Katowicach. Jego guru, Jurek Kukuczka, też tak zaczynał. Potem z automatu wszedł w skład śląskiego Klubu Wysokogórskiego. Rok przed wyjazdem na Lhotse wspiął się na niższe góry w Roßwaling Himal. Ostre wspinanie w masywie Ghauri Shankara, jednego z najtrudniejszych siedmiotysięczników.

To był przedsmak. Opinie były zgodne: mocny, lekki, odpowiadający. Gdy ruszał na podbój południowej ściany, miał 28 lat. Wymarzony wiek dla rozwijającego się himalaisty. Środowisko rozciągało przed nim interesujące perspektywy, szczególnie że wyprawę na Lhotse wspierał sam Jurek Kukuczka, szanse były realne, a gdyby uporano się wtedy z problemem XXI wieku (jak mawiał Reinhold Messner), drzwi do sławy stały otworem także dla Cholda...

Nie udało się... Śmierć ucięła wszystkie domysły, plany, perspektywy sukcesów. Rafał zginął w 1985 roku, dwa lata później w trakcie kolejnej polskiej wyprawy na południową Lhotse lawina zabrała Czesława Jakiela, lekarza ekipy. Minęły kolejne dwa lata i 24 października 1989 roku ze ściany spadł Jurek Kukuczka... Wysoka, polska cena za nigdy przez nas nie osiągnięty cel... ● (JM)

ŁUKASZ CEGLIŃSKI: Mawia pan, że góry są kimś. Kim?

PIOTR PUSTELNIK: Góry mają w sobie jakiś element ludzki. To formacja, z którą można podjąć jednostronny dialog. Wierzę, że góry nas słyszą. Trzeba do nich mówić albo o nich myśleć. One to odbierają.

Odczuł pan kiedyś, że został wysłuchany przez górę?

- Nie, ale odczuwałem kiedyś negatywne pomruki, kiedy zachowywałem się w stosunku do góry arogancko. Skoro to działa w tę stronę, to w drugą pewnie też.

Twierdził pan, że w górach musi być organizm sterujący, skoro są takie mistyczne. Odnalazł pan go?

- W latach 90. mistyka była bliższa mojej duszy niż teraz. Żałuję, że końcówkę mojego pobytu w Himalajach opanowała obsesja, która zabiła mistykę. Przestałem o tym myśleć, bo chciałem za wszelką cenę dokończyć projekt.

Łatwiej zdobywa się szczyty z mistyką czy z obsesją?

- Zdecydowanie z mistyką. Obsesja jest czymś okropnym. Mam jej już dosyć.

Krzysztof Wielicki powiedział kiedyś, że wielu rzeczy by w życiu nie osiągnął, gdyby nie góry.

- To jest prawda. Kiedy jeździłem na wyprawy często - raz, nawet dwa razy do roku - odczuwałem to bardzo mocno, ostatnio raz na dwa lata. Dłużej przebywałem na nizinach i mój brak cierpliwości do codziennych spraw był przykry. Najbliżej z tego powodu bardzo cierpią, bo ja jestem po prostu nieznosny.

Co góry dają człowiekowi?

- Lepszy wgląd we własną duszę. Dystrans do rzeczywistości, do której się potem wraca. Coś, co jest ważne dla człowieka niezainfekowanego górami, może być nieistotne, jeśli patrzy się przez pryzmat wysokich gór. Pojawiają się dystrans i refleksja, że to, co robimy na nizinach, można czasem rozwiązać w inny sposób. Góry dają mi też poczucie, że samotność nie jest złem. Nauczyłem się w górach żyć samemu i choć jestem bardzo towarzyskim człowiekiem, to potrafię opanować samotność.

Co góry człowiekowi zabierają?

- Bliskość z kochanymi osobami. Brakuje nas wtedy, kiedy powinniśmy być razem, w ważnych chwilach. To największa cena, jaką płaci się za góry. Mnie ominęło wiele niepowtarzalnych mo-

Piotr Pustelnik

27 kwietnia tego roku,
wchodząc na 14. ośmiotysięcznik,
zdobył Koronę Himalajów



Piotr Pustelnik podczas wyprawy na Annapurnę w 2010 r.

mentów z życia mojej rodziny. Ominęły mnie także momenty dramatyczne. Wiele więzi w mojej rodzinie uległo osłabieniu. Dotyczyło to stosunków z żoną, dziećmi. Zapłaciłem tę cenę. Trudno mi teraz oceniać, czy tego żałuję. Raczej nie.

Przeważają zyski czy straty?

- Uważam, że wszystko, co zrobiłem w życiu, było tego warte. Nawet jeśli ponosiłem ogromne straty. Każdy człowiek jest czasem egoistą, a alpinista to już egoista do kwadratu. Miłość do gór oznacza także egoizm.

Czasem mówi się, że himalaistę to ludzie z kompleksami, którzy idą w góry, żeby oderwać się od codziennych kłopotów na nizinach.

- Często spotykałem się z tym określeniem wobec siebie, bo prawie całe życie zawodowe związałem z uczelnią. Ktoś mi kiedyś powiedział, że poszedłem w góry, bo nie potrafiłem zrobić kariery naukowej. Ale to nieprawda - ja zrezygnowałem z kariery naukowej po to, żeby pójść w góry. Alpinisci nie są życiowymi nieudacznikami, którzy w ten sposób unikają fobii. Oni wybierają takie życie - często trudne i niebezpieczne - po to, żeby świadomie się tym życiem cieszyć.

To prawda, że najgorszy jest powrót ze szczytu na nizinę?

- No, wtedy to powinno się przechodzić jakąś kwarantannę w szpitalach! Kiedy wracam, to przez tydzień objam się o ścianę i nie wiem, co ze sobą robić. Przychodzę do pracy i zastanawiam się: włączyć ten komputer, odpowiadać na maile, robić coś? A pójść na spacer. Nie potrafię się odnaleźć.

Pan jest blisko natury - jak pan oceni ciągle próby człowieka jej okleźniania.

- To ogromna tragedia, jeśli dobytek ludzi ginie przez żywioł, ale jednocześnie jest to takie memento natury, która przypomina, że to ona rządzi. Odwieczne zmaganie się człowieka z przyrodą jest bez wątpienia fascynujące i to, że czasami z nią przegrywamy, dla mnie jest rzeczą oczywistą.

Czy zdobywanie ośmiotysięczników nie jest wyrazem okleźniania przyrody?

- Ja wchodzę na nie z pokorą wobec ich majestatu i potęgę. Z szacunkiem dla mocy, którą dana góra ma. Ona może zrobić ze mną wszystko, a jeśli nie robi, to tylko dlatego, że w jakiś mistyczny sposób łączymy się ze sobą.

Czy polski himalaizm jest wyjątkowy?

- Oczywiście.

Dlaczego?

- Bo my jesteśmy taką mieszańką ullańskiej fantazji i zimnej kalkulacji, a jednocześnie narodem utalentowanym, jeśli chodzi o uprawianie alpinizmu - mamy do tego predyspozycje i ducha walki. To pewnie ma cały naród, ale nie wszyscy muszą to wykorzystywać tak jak my w górach. Mania fantazji, upór i waleczność, ale także instynkt samozachowawczy. Są od nas bardziej waleczne narody, ale one ponoszą ogromne straty. My nie.

A mistycyzm? Wanda Rutkiewicz jako pierwszy Polak zdobyła Mount Everest, w dniu kiedy Karol Wojtyła został papieżem.

- Można powiedzieć: „Ale miała farta kobieta!”, ale ja myślę, że tak nie było. To, że Wanda weszła w tym samym dniu, kiedy Wojtyła został papieżem, było pewnym symbolem, że Polacy mogą wejść jak najwyżej. Coś w tym jest, no bo proszę mi pokazać inny naród, któremu się coś takiego przydarzyło.

W latach 80. kształtował się mit polskiego taternika-opozycjonisty, bo mówiło się, że żadna władza nie sległa gór. Odczuł pan to?

- Ja mam inne zdanie na ten temat - polscy alpinisci byli opozycjonistami i nieopozycjonistami. Była po prostu duża grupa ludzi, dla których wspinać się oznaczało wolność. Ale wolność pojmowana w oderwaniu od systemu - wolność w górach to po prostu wolność w górach. Nie trzeba było przenosić tego na zaangażowanie w życie społeczne czy polityczne.

Porównuje pan siebie z Jerzym Kukuczka lub Krzysztofem Wielickim?

- Absolutnie nie! Ja jestem przy nich rzemieślnikiem, i to mało utalentowanym. Oni są wyjątkowymi, wręcz unikalnymi osobowościami. Ja jestem wyrobnikiem z drugiego szeregu. W życiu bym się do nich nie porównał.

Inny wybitny polski himalaista Andrzej Zawada rzucił kiedyś hasło: „Wchodźmy zimą”, jako reakcję na fakt, że w lecie wytyczono wiele tras na wszystkie najwyższe góry. Polacy stworzyli czołówkę zimowego himalaizmu.

- Na ten temat proszę ze mną nie rozmawiać. Nie cierpię zimowego himalaizmu i nie uważam tego za sztukę, która warta jest takich wyrzeczeń. Dla mnie to jest sztuka cierpienia, a ja idę w góry, żeby cieszyć się życiem. Nie mogę sobie wyobrazić, że spędzam trzy miesiące w bazie, nie mając kompletnie szansy na wyjście wyżej. Jedyne, co bym robił, to szczekał zębami z zimna. **Zima to w Himalajach gołe skały, a lato to śnieg.**

- Wspinaczka zimowa to dyscyplina dla elitarnego kręgu osób, które są utalentowane genetycznie i psychicznie, aby ją uprawiać. Ja takich warunków nie posiadam.

Rok temu zginął w górach Piotr Morawski, dla którego był pan, no właśnie, kim? Guru? Przewodnikiem?

- Trudno mi powiedzieć. Byłem z nim bardzo związany. Z pewnością byłem tylko troszkę młodszy od jego ojca, którego Piotr już nie miał. Nie byłem jednak dla niego ojcem, bo ojca ma się tylko jednego. Bardzo się zżyliśmy, nasze życia nie miały przed sobą tajemnic. Byliśmy do siebie przywiązani - tak bym to właśnie nazwał. Właśnie tutaj, gdzie teraz rozmawiamy - na rogu ulic Królewskiej i Marszałkowskiej - odebrałem w drodze do pracy telefon z wiadomością, że Piotr zginął. Nie mogę sobie jeszcze tego ułożyć w głowie.

Teraz jest pan wzorem dla Kingi Baranowskiej, która zdobyła już siedem ośmiotysięczników?

- Nie sądzę, ona ma swoje wzorce. Dla Kingi byłem tylko pomocą przy ponownym uruchomieniu kariery po wypadku i odmrożeniach. Ona potrzebowała kopa i ja jej w tym punkcie zwróciłem pomoc. Jej kariera ruszyła do przodu, ale to jest jej zasługa. Ja tylko trzymam kciuki za to, żeby zdobyła Koronę Himalajów.

Baranowska będzie nową gwiazdą polskiego himalaizmu?

- Nie tylko polskiego, ale i światowego, bo osób z taką skutecznością zdobywania szczytów nie ma wiele.

O sobie mówi pan, że jest epigonem pokolenia, które w latach 80. podejmowało w górach wielkie wyzwania. Dodaje pan, że jest potrzeba odrodzenia takiego pokolenia. Dlaczego to tak ważne?

- Byłoby fajnie, gdyby polski himalaizm odrodził się w takiej formie jak 20 lat temu. W Himalaje jeździło wówczas kilka polskich wypraw rocznie i były one naprawdę udane. Zdaje sobie jednak sprawę, że wyjątkowość tamtego pokolenia sprawia, że prawdopodobieństwo wystąpienia takiego zjawiska jest niewielkie. Nie spodziewam się, że nagle w Polsce pojawi się tłum ludzi 30-letnich, którzy będą w stanie i technicznie, i organizacyjnie podołać temu, co robiło tamto pokolenie. Nasze tradycje są jednak ogromne - cały świat wie, co to jest polski himalaizm.

A czy nie jest tak, że himalaizmem brakuje już wyzwań?

- W światowym himalaizmie zawsze było tak, że próbowało się czegoś nowego - gór, dróg, wariantów. To były priorytety. Wynaleziono jednak himalaizm komercyjny i populacja ludzi, którzy chcą wejść na ośmiotysięcznik, zwiększyła się znacznie. W tej populacji panuje jednak prosta zasada - choć wejść łatwo, szybko i w miarę bezpiecznie. Trend komercyjny przeważa, nieliczne zespoły rozwiązują poważne problemy himalaistyczne. Większość porusza się po normalnych, zabezpieczonych szlakach. Nie można się na to obrażać, mówiąc, że mój świat, w którym tego nie było, był lepszy. Ja tak nie robię, bo uważam, że w Himalajach jest miejsce dla każdego i można mieć radość z każdego wejścia, nawet najłatwiejszą drogą.

W PRL himalaistę zatrudniali się przy robotach wysokościowych, bo np. za pomalowanie komina można było zarobić tyle, że starczyło na wyprawę. Jak jest teraz?

- Przygotowanie na wyprawę zawsze zabiera rok, bo tyle trwa przerwa między sezonami. To dość przykra czynność chodzenia po prośbie. Na rok zamieniam się w himalaistę proszalnego, chodzę z czapką i zbieram pieniądze. Zwyczajnie odwiedzam znajomych i proszę ich o pomoc w znalezieniu pieniędzy na wyprawę. Nie jest to nic fajnego, ale uczy życia, w którym trzeba coś dać, żeby coś dostać.

im przy pasunku zwracając się do świadczącego nie ma już takiego znaczenia, a zmęczenie przeszkadza - taki najwykleszy spadek wydolności organizmu.

No to skoro wiek ma znaczenie, skoro im później, tym trudniej, to określenie „najstarszy człowiek” jeszcze dodaje panu wyjątkowości.

- Wyjątkowe to może było to, że byłem wystarczająco przestawiony, żeby nie dać się zabić. Ale czy to jest jakiś wyróżnik? Pod koniec wyprawy musiałem stosować różne środki zaradcze, aby być odpowiedzialnym partnerem dla reszty mojej wyprawy, bo nie ma nic gorszego jak uczestnik wejścia, który swoimi kłopotami przeszkadza kolegom.

Ma pan na myśli stosowanie butli z tlenem?

- Tak. Użyłem tlenu po to, żeby na wyprawie nie było najmniejszych problemów z moją osobą. Okazało się, że było to odpowiedzialne posunięcie i nie mówię tego, żeby się pochwalić. To, co nas spotkało podczas ataku szczytowego, stary, w jakich z wierzchołka wra-

W himalaizmie najbardziej liczą się psychika, kontrolowanie emocji, wytrwałość, odporność na ryzykowne sytuacje.

Sukces bierze się z uporczywego dążenia do celu.

W Himalajach umiejętności techniczne są na drugim planie

cali niektórzy koledzy [jeden z członków wyprawy hiszpańskiej zszedł z podejrzeniem obrzęku mózgu], potwierdziły mi to przekonaniu, że postąpiłem odpowiedzialnie. Środowisko himalaistów ocenia użycie tlenu jako obniżenie klasy sportowej wejścia itd. W porządku, to prawda. Ale liczy się także to, że nikt z mojego powodu nie miał kłopotów.

Czy pana zdaniem himalaizm to sport?

- Nie spełnia podstawowego warunku, czyli rywalizowania w takich samych warunkach. Sprinterzy startują z tego samego miejsca, biegną po prostej, wygrywa ten, kto jest pierwszy na mecie. Sport odpowiada na pytanie: kto szybciej, kto dalej, kto wyżej. To proste definicje, których w himalaizmie nie ma, bo nie ma dwóch takich samych dróg, dwóch takich samych przejść. Trudno porównywać osiągnięcia. Himalaizm ma elementy sportu, ale to raczej styl życia. Sposób na wydłużenie swojej energii. To także estetyczne marzenie człowieka.

Po zdobyciu Korony Himalajów mówił pan o satysfakcji, ale i o uldze.

- Wiem już na pewno, że na zawsze skończyłem z ośmiotysięcznikami. Uwolniłem umysł i wolę, bo ten projekt

asociował mnie w całości. Nie pozwalał mi myśleć o innych górach, wyzwaniach, o innym sposobie uprawiania alpinizmu. Teraz jestem wolnym człowiekiem.

Czy to całkowite zaabsorbowanie umysłu miało wpływ na życie codzienne?

- Potrafię oddzielać życie w górach od życia na nizinach, ale jeśli co roku obsesyjnie myślę o jednym szczycie, jeśli ciągle próbuje się znaleźć na niego drogę, to ta obsesja wpływa na codziennosc. Nie mogę się w 100 proc. skoncentrować na życiu prywatnym, na pracy, na innych planach. Zazdrośna część mojej duszy, która nazywała się obsesją na tle Annapurny, gór ośmiotysięcznych w ogóle, ciążyła nade mną tak bardzo, że wiele rzeczy mi umykało. Teraz jest inaczej i dlatego mówię o uldze.

Annapurnę szturmował pan pięć-krotnie. Po nieudanych próbach rozważał pan podobno odpuszczenie Korony Himalajów.

- Żegnałem się z nią dwa razy, ale byłem w tym niekonsekwentny. Wyglądało to trochę śmiesznie - przegrywam w górach, to od razu zapowiadam, że przestaję się wspinać. Okazało się jednak, że to była obsesja, z której nie mogłem zrezygnować. Nawet pomimo że dodatkowo stresował mnie sposób poniesionej porażki. Bogu dziękuję, że to już się skończyło.

Jest pan wśród 22 osób, które zdobyły Koronę Himalajów. Jest pan wyjątkowym człowiekiem?

- Absolutnie nie. Nie wiem, dlaczego część mojego środowiska odnosi się do tego jako do czegoś wyjątkowego. Kolekcjonowanie gór jest strasznie niszową czynnością i równie dobrze można wyróżniać kogoś, kto kolekcjonuje unikatowe wazy indyjskie.

Panie Piotrze, bez żartów...

- No ja bym dyskutował, choć rzeczywiście kolekcjonowanie waz nie grozi śmiercią lub kalectwem, co w górach może się przydarzyć. Nie wiem, czy Korona Himalajów to coś wyjątkowego, nie chcę nawet myśleć o tym w ten sposób. Jej zdobywców jest na świecie niewiele, to raczej i elitarne grono. Szanuję je i jest mi przyjemnie, że mogę w nim być.

Przed piątym wejściem na Annapurnę mówił pan: „Technikę, umiejętności, doświadczenie i wytrenowanie mam. Pozostają psychika i emocje”. To klucz do sukcesu w górach?

- Akurat w piątym podejściu, które zakończyło się sukcesem, tak było. W himalaizmie najbardziej liczą się właśnie psychika, kontrolowanie emocji, wytrwałość, odporność na ryzyko. Cechy związane są z uporem, bo można być bardzo dobrze wytrenowanym alpinistą bez żadnego sukcesu. On bierze się z uporczywego dążenia do celu. Znam mnóstwo ludzi, którzy po pierwszym niepowodzeniu mówią: „Dobra, chodźmy na piwo”. Oni nigdy nie odniosą sukcesu. W Himalajach umiejętności techniczne są na drugim planie, chociaż trzeba je mieć.

„Mimo doświadczenia i osiągnięć tak jak 30 lat temu, tak i dziś w każdą noc przed wejściem odczuwam strach”. To pana słowa sprzed wejścia na Annapurnę.

- Bo przed wejściem na szczyt zawsze ścisła w dołku, choć akurat na ostatniej wyprawie wychodziłem do góry jak na Giewont. Bałem się wcześniej, ale w trakcie podejścia pod szczyt strachu już nie czułem. Było za to napięcie psychiczne - zastanawiałem się, jakie niespodzianki przgotuje mi góra? Na szczęście ich nie było.

Jaki jest ten strach w nocy przed wejściem? Boi się pan śmierci czy niepowodzenia?

- Strach przed śmiercią mam w sobie zawsze. To, że mogłem ponieść pięć porażek, było dodatkową traumą. **Strach paraliżuje czy mobilizuje?**

- Ten przed czymś nieznanym pomaga, ale jak widzę, że lecą na mnie wielkie kawały lodu, to jestem śmiertelnie przerażony. Czuję się sparaliżowany. Zachowuję się jak zwierzę, które chce tylko przetrwać. Bezpośrednie, fizyczne zagrożenie życia strasznie działa na człowieka. Wewnętrzny strach, który czuję przed potencjalnym niebezpieczeństwem, występuje tylko przed wejściem z obozu. Jak wchodzę do akcji, to już się nie boję.

Strach pokonywał pan na skałach Jury Krakowsko-Częstochowskiej - któregoś dnia odpadł pan od skały i spadł cztery metry. Napisał pan potem: „Odczułem coś zaskakującego - wyzwolenie, nagły przypływ odwagi”. Upadek to sposób na przełamanie strachu?

- Kiedy wychodziłem cały i zdrowy z tego typu upadków, dostawałem ogromnego kopa psychologicznego. Utwierdzało mnie to w przekonaniu, że z każdej sytuacji można wyjść obronną ręką.

Ma pan trzech synów - dwaj najstarsi wspinają się po skałkach. Wziąłby pan ich ze sobą na wyprawę w Himalaje?

- Nie, nigdy.

Dlaczego?

- Nie wytrzymałbym psychicznie takiego obciążenia. Góry zabierają ludzi, są groźne. Nie przeżyłbym, gdybym musiał patrzeć na śmierć swoich dzieci.

Rozmawiacie razem o ich uczuciach, kiedy pan wyjeżdża i ryzykuje?

- Ja przeżywam ich wyjazdy i wspinań, oni przeżywają moje. Każdy na swój sposób ten krzyż nosi. Moja żona wyjazd przeżywa ciężko, dlatego moje relacje z nią są bardzo emocjonalne. Ona przez całe życie bała się o mnie. Ja też boję się o rodzinę. Każdy to w sobie jakoś przetrawi, ale to nie jest smutne. To żywa, ludzka obawa, która zamienia się w satysfakcję, jeśli coś się uda.

Pracuje pan w banku i zajmuje się tzw. business recovery - szybkim przywracaniem operacyjnej sprawności firmy w razie katastrofy. Co jest dla pana katastrofą, po której musi pan siebie przywracać do życia?

- Dla każdego jest to utrata bliskich. To taka ostateczna katastrofa. Ja nie jestem przywiązany do rzeczy, ale do ludzi bardzo. Przed utratą bliskich nie można się jednak zabezpieczyć. Można się tylko modlić, żeby to mnie nie dotyczyło. o

O swojej dacie urodzenia mówi pan: „Rok produkcji 1951”. Jak to się dzieje, że taki stary model ma taki duży przebieg i wciąż jeździ pod górę?

- Bo to po prostu dobry rocznik. Urodziłem się z trudem, bo po wojnie moja mama albo nie mogła zająć w ciąży, albo te ciąży były nieudane. Jak się już urodziłem, to przeszedłem wszystkie choroby wieku dziecięcego, łącznie z chorobami serca, i to mnie tak wzmocniło, że teraz jestem nie do zabicia. Jest taki model Mercedesa, tzw. beczka, który jest nie do zderzenia. Być może ja jestem taką „beczką”.

Koronę Himalajów zdobywał pan 20 lat. Długo.

- Grubo za długo.

Dlaczego?

- Do Annapurny wszystko przebiegało zgodnie ze światową statystyką, ale z tą górą borykałem się przez sześć lat - cztery razy musiałem zawracać spod szczytu i to sprawiło, że wśród posiadaczy Korony Himalajów jestem na końcu, jeśli chodzi o czas jej zdobycia. To jednak nie przeszkadza mi tak bardzo jak fakt, że jestem najstarszym człowiekiem, który tego dokonał. „Najstarszy człowiek” - to jest paskudne określenie.

Płaty krzyżyk na karku jest w górach ograniczeniem?

- Oczywiście, że jest i wyraźnie to odczułem na dwóch ostatnich wyprawach. Z każdą próbą było mi trudniej. Wiek ma dobre i złe strony, ale w mo-

DWIE ŁEZKI DLA KUKUCZKI

– Ryszard Kubac* odpowiada prof. Jerzemu Monkiewiczowi

Czytając tytuł, pomyślałem, że coś się z nimi stało, że zniknęły. Chwile później włosy zaczęły stawać mi dęba, następnie opadła mi szczeka, a po dobrnięciu do końca artykułu rodzina chciała dzwonić po karetkę z kaftanem bezpieczeństwa. Wszystko dlatego, że wstąpiła we mnie mała część złości (taki Island Peak) z ogromnych Himalajów nienawiści, jakie autor interwencji prof. Jerzy Monkiewicz czuje do AWF-u Katowice i jego rektora - Zbigniewa Waśkiewicza.

W odpowiedzi na zarzuty: - nie: „dwie nieczytelne płytki z plastiku”, tylko dwie statuetki ognia z pochodni, wykonane ze szkła hartowanego, z wyrytymi napisami i logo AWF-u, wsparte na szklanej podstawie, które stoja w tym miejscu już ponad pół roku i nie zlego się z nimi jeszcze nie stało.

„Grupa studentów i wykładowców” to Sylwia, Piotr i Paweł, a wykładowców - Zbigniew. Ponadto: członkowie Klubu Wysokogórskiego w Katowicach (7 osób), pracownicy firmy Bombardier w Katowicach - w której pracował śpiący Jerzy (3 osoby), jego rodzina i przyjaciele (6 osób), turyści z Wisły, Warszawy i Chorzowa (15 osób). To byli ludzie, którzy parę dni pracowali przy czortenie, a później wspominali i słuchali opowiadań o śp. Jerzym i kolegach himalaistach, którzy zostali w górach.

Dalej czytamy: „niewielki pomnik”. Po moim pobycie w 2006 roku przekazałem żonie zdjęcia tablicy, która była w oplakany stanie, bo glaz



Statuetki, które AWF ufundowała swojemu patronowi

z tablicą został wkomponowany w szopy gospodarcze - suszono na nim nawóz. To przyspieszyło decyzję o przeniesieniu tablicy - i tak staraniem żony Jerzego i Fundacji im. Jerzego Kukuczki szerpowie zbudowali czortenkamienny o wysokości 160 cm i długości podstawy 70 cm na wzniesieniu głazów Bibre (4200 m n.p.m.). Widząc szerpów, których wzrost sięga około 145 cm, to naprawdę „niewielki pomnik”.

(...) Gdyby ktoś z licznej - jak mnie mam - grupy wrocławskiej otworzył skrzynkę z blachy nierdzewnej, którą osobiście wykonałem, przywożem i zamontowałem w podstawie czortenu, znalazłby pięknie wykonany folder w językach polskim i angielskim opisujący każdego bohatera południo-

wej ściany Lhotse - który wykonał Wojciech Kukuczka (syn śpiącego Jerzego) - oraz zeszyt z wpisami odwiedzających to miejsce turystów i himalaistów. Kilka egzemplarzy tego folderu do wglądu turystów znajduje się 50 m od czortenu - u szerpki, który w małej chatce sprzedaje herbatę i ma baczność na to miejsce. Ale jak ktoś nie dowiedzi i nie ma 40 rupii na herbatę, to się o nich nie dowie.

Mocowanie „nieszczęśliwych płytek”. Statuetki mają podstawkę i zostały postawione na cokole. Pierwszą myślą było przyklejenie ich do podłoża (oprócz narzędzi i skrzynki nośnej też dwuskładnikowy klej - cement), ale w pewnym momencie zacząłem obserwować kolegów i turystów, którzy przystawali przy czortenie i pyta-

PRZED NAMI SPORO MOŻLIWOŚCI

Z PIOTREM BANASIKIEM, Inwestorem, który zamienił niszczeni Szyb Anna w dawną kopalnię Sosnowiec na nowoczesne centrum wspinaczkowe, rozmawia Arkadiusz Kaczor

Ostatnio jedyną inwestycję, o których mówi się w Sosnowcu, to nowe, blaszane markety. Skąd zatem tak oryginalny pomysł ze ścianką wspinaczkową?

Koncepcję budowy ściany wspinaczkowej mieliśmy początkowo realizować w Katowicach. Tak się jednak złożyło, że kilka lat temu taki obiekt już powstał, a my nie chcieliśmy wchodzić z nim w bezpośrednią konkurencję. Kiedy w 2007 roku udało nam się kupić nieruchomość po byłej kopalni Sosnowiec, wybór padł na stolicę Zagłębia. Głównie ze względu na to, że obiekt idealnie nadaje się na tego typu inwestycję. Można w nim bez przeszkód urządzić centrum sportowo-rekreacyjne z prawdziwego zdarzenia, gdzie oprócz ścianki będą sale i siłownia. Przed nami sporo możliwości.

Kiedy przysłuchuję się różnym opiniom, pomysł budowy ścianki wspinaczkowej budzi spory entuzjazm. Ten entuzjazm przeloży się później na zainteresowanie mieszkańców?

Myślę, że tak. To nie jest pomysł znikąd, na zasadzie: „wybudujemy ściankę, może będzie ok”. Wspinam się już od dwunastu lat, znam środowisko i jestem przekonany, że to bardzo duży segment rynku. Ściany powstają i będą powstawać, a firmy, które w nie inwestują nie narzekają na brak klientów. Komercyjne centra wspinaczkowe, które działają w wielu miastach Polski, są nawet momentami przepełnione. Wszystko to dlatego, że wspinaczka stała się parę lat temu sportem bardziej dostępnym i bezpiecznym. Za sprawą nowoczesnego sprzętu nie jest już ona zajęciem dla elit i śmiadków, gotowych ryzykować swoje życie dla chwili przyjemności.

Uderzacie w rynek sosnowiecki, czy myślicie o szerszym gronie odbiorców?

Myślę, że zdecydowanie szerzej. W mieście o podobnej liczbie mieszkańców co Sosnowiec, ale bez miast ościennych, nie wiem czy inwestycja miałaby sens. A skoro żyjemy w takiej a nie innej aglomeracji, to dlaczego mielibyśmy się zamykać. Tym bardziej, że lokalizacja obiektu z pewnością będzie sprzyjała temu zainteresowaniu.

A powstanie tylko ścianka, czy zobaczymy również jakąś infrastrukturę towarzyszącą?

Na początku był pomysł samej ścianki, jednak w przypadku tak dużego obiektu szkoda byłoby nie rozbudować oferty. Mamy moż-



liwości powiększyć, dlatego powstanie na pewno siłownia, która będzie stanowiła uzupełnienie treningu dla profesjonalnych wspinaczy. Do tego myślimy o kawiarence i tarasie widokowym.

To wszystko generuje z pewnością spore koszty. Pomogą środki zewnętrzne?

Tak, udało nam się uzyskać dotację z Unii Europejskiej. Nasz wniosek został bardzo wysoko oceniony przez Śląskie Centrum Przedsiębiorczości, w efekcie czego otrzymaliśmy środki w pełnym wymiarze, o jakie wnioskowaliśmy. Bardzo się z tego cieszymy, bo 750 tys. złotych to duży zastrzyk gotówki, który pozwoli jeszcze bardziej rozwinąć naszą ofertę.

Jak się układa współpraca z miastem?

Ja jestem zadowolony. Są oczywiście pewne problemy i blokady, ale wynikają one bardziej z ogólnych przepisów, niż ze złej woli urzędników. Także, jeśli chodzi o ludzi, to jestem ze współpracy zadowolony i mam nadzieję, że będzie ona dalej przebiegać w ten sposób.

Pytam dlatego, że ostatni oryginalny pomysł na inwestycję w Sosnowcu, czyli stok narciarski na śródlądziej górze, może mieć swój finał w sądzie. Nie przeraża was to, nie zniechęca w jakiś sposób?

Problem ze stokiem narciarskim jest bardziej skomplikowany. Wydaje mi się, że w grę wchodzi tu kwestia złego zarządzania. Jest to naprawdę fajne miejsce. Sam miałem kilka ciekawych pomysłów związanych z jego zagospodarowaniem. Nie chcę ich jednak zdradzać, ponieważ część z nich, jeśli nie teraz, to w przyszłości zamierzam zrealizować przy okazji naszej inwestycji.

Czyli to nie jest tak, że cała ta przepychanka władz Sosnowca ze Sportową Doliną powodowała u was refleksję typu: „w co my się pakujemy”?

Ani trochę. Zupełnie nie przejmuję się rozszadami, które dzieją się na tamtym polu. My robimy swoje. Celujemy w inną klientelę, choć kłopoty Sportowej Doliny nie były raczej związane z brakiem zainteresowanych...

Kiedy więc będziemy się wspinąć, napijemy kawy w kawiarence i popatrzymy na panoramę Sosnowca z tarasu widokowego?

Myślę, że uda nam się zacząć inwestycję już we wrześniu tego roku. Jak wszystko dobrze pójdzie, to cała budowa potrwa pół roku. Może trochę krócej, może trochę dłużej – wiadomo, że są pewne czynniki niezależne. Niemniej jednak finansowanie mamy już zapewnione i na początku przyszłego roku powinniśmy ze wszystkim ruszyć.

FILIP FRYDRYKIEWICZ

Właśnie mija rok, odkąd na liście światowego dziedzictwa przyrodniczego UNESCO wpisało Dolomity. Co przekonało komitet, że góry te są wyjątkowe i zasługują na wyróżnienie? Dwa argumenty - ich uroda i znaczenie dla poznawania historii geologicznej Ziemi. Warto dodać też jako wielki atut jakość tutejszej kuchni.

Zbudowane przez morze

Białoszare wapienne skały powstały na dnie morza, które zalegało północne Włochy

250 milionów lat temu. Są zbudowane głównie z morskich osadów i korałi. Choć geograficznie wchodzi w skład Alp, pod względem geologicznym mocno się różnią od reszty tych gór. W składzie ich skał znajduje się bowiem duża porcja magnezu, srebrzystobiałego metalu. Odkrył to francuski młodzieniec, początkujący geolog z drugiej połowy XVIII wieku Déodat de Dolomieu. Nietrudno się domyślić, że to od jego nazwiska pochodzi zarówno nazwa skały dolomit, jak i całych gór. Wcześniej rdzenni mieszkańcy szerokich dolin, Ladynowie, popoładnio, potomkowie Retoromanów, nazywali swą okolicę Monti Pallidi, Białe Góry.

Inaczej też niż reszta Alp Dolomity się kształtowały. Po wypiętrzeniu osadów bardziej miękkie skały wulkaniczne, wykruszone i wypłukane przez erozję, odsłoniły twardsze dolomity. Nie da się pomylić z innymi tych oryginalnych sylwetek - nagie szpiczaste zęby, postrzępione grzebienie, strzeliste wieże i masywne, kwadratowe turnie wyrastają z wysoko położonych płaskowyżów.

Notabene w erozji miał też udział człowiek. Podczas I wojny światowej o Dolomity (a konkretnie o region nazwany później Tyrol Południowy) toczyły się zaciete walki między Włochami i Austriakami, z kuciem schronów w skałach i wysadzaniem ich razem z całymi szczytami.

Podświetlane góry

Białe skały dolomitowe są jak papierek lakmusowy - w zależności od pory roku, pory dnia, pogody i słońca nasykają kolorami. Raz bieleją jak uśmiech modela w reklamie pasty do zębów, innym razem

żółcą się jak kaczęce na stawie, innym jeszcze razem przybierają kolor pomarańczowy lub wręcz purpurowy, jakby w ich wnętrzu świeciła czerwona żarówka. To ostatnie zjawisko, enrosadira, zaróżowienie, nie zostawi nikogo obojętnym.

Dolomity są jak sala gimnastyczna na świeżym powietrzu. Trasy rowerowe, szlaki wędrowek pieszych, via ferraty (trudniejsze drogi w górach, wyposażone w metalowe poręcze, drabinki, kłamry) i pionowe strome ściany do zdobywania przez wytrawnych wspinaczy. Razem 832 trasy o łącznej długości 4787 kilometrów. Rafting i canyoning na rwących potokach, żeglarsko i windsurfing na jeziorach, których doliczono się tu 300 - proszę bardzo.

Dolomity nie tworzą wyraźnego łańcucha górskiego. Składają się z grup skalnych oddzielonych głębokimi, szerokimi dolinami: Marmolada, Sella, Brenta, Puez, Lagorai, Latemari i wiele innych. A wśród nich jedna z najpotężniejszych i najefekowniejzych - Pale di San Martino.

Wjechać, zjeść, zjechać

Stacja kolejki linowej na obrzeżach miasteczka San Martino di Castrozza wypływa rytmicznie zielone wagoniki. Pną się ponad lasem, unosząc w górę kilkusobowe grupki turystów. Z 1444 m.n.p.m. do 1965 m.n.p.m. Ale to mało. Ludzie chcą jeszcze. Zmieniają więc niewielkie obiekty kapsuły na kwadratowe oszklone budki wyciągu, który zdobywa kolejne metry, aż zatrzymuje się na wysokości 2635 m.n.p.m.

Z czerwonego wagonu wysypują się kolorowe robaczki. I od razu zaczynają się wdrapywać na stromy stok rozpościerający się szeroko obok stacji kolejki. Taras widokowy omijają z pogardą, bo przecież za kilka chwil spojrzą na okolicę z jeszcze większej wysokości. I rzeczywiście, docierają do metalowego krzyża na jednym z najwyższych szczytów w płaskowyżu Pale di San Martino - Rosette (2741 m.n.p.m.).

Widok jest wspaniały. Z jednej strony - kilkusetmetrowa przepaść, dla odważnych, którzy zbliżą się do krawędzi i wychyła. W dole, w zielonej dolinie San Martino di Castrozza - garść domów zbitych w groń nobarwna pustynia, na której środku sterczy pudełeczko na krytego spadzistym dachu schroniska. Statek kosmiczny, który wylądował na Księżycu, by zabrać turystów. A ci posłusz-

nie schodzą teraz w jego stronę. Ciągnie się wąska stróżka niebieskich kurtki, zielonych plecaków, żółtych bluz, wobec ogromu otaczającej przestrzeni wyglądających jak kolorowe robaczki. Te robaczki wiedzą, co robią. W rifugio Pedrotti alla Rosetta można się całkiem dobrze najeść.

W dużej sali na środku rifugia króluje kaflowy piec. Właśnie nastąpiła pora lunchu, przy drewnianych stołach gwarzy tłum. Uśmiechnięte kelnerki sprawnie roznoszą deski z lokalnymi przysmakami - na jednych zawinięte zgrabnie cienkie plastry suszonej szynki i kiełbas z apetycznymi białymi okami tłuszczu lub przypominających salami. Na drugich - kawałki kilku rodzajów twardych słonecznych serów, w tym słynnego trentin-grana. A kiedy goście opróżnią deski, popijając czerwonym trydenckim winem Marzemino lub cierpkim Teroldego Rotaliano, kelnerki pojawiają się z tacami pachnących podłużnych trójkątów domowej szarlotki (jabłka są jednym z największych bogactw regionu) i sernika, poproszonych cukrem pudrem. Ciasto rozplywa się w ustach.

Dolce vita na 2581 m.n.p.m. Ale nie dolce far niente. Przy najmniej nie dla części przybitych do schroniska wędrowców.

Deszcz w kotle

Jedni turyści kończą tu spacer, wróć teraz do kolejki. Inni dopiero zaczynają wędrowkę. Mocne buty za kostkę, grube karpety, małe plecaki z podługocnym wyposażeniem, ciepłe czapki lub kapelusze na głowach, mapy w rękach. Wizyta ugio to dla nich tylko przygotowanie do szlaku. Wychodzi ich kilka, drogowy szlak uginą się od tabliczek.

Droga 709 w głąb płaskowyżu Pale obiecuje niezbyt trudny trekking wśród pięknych krajobrazów. Kilka godzin marszu zaprowadzi wędrowców do następnego schroniska, tym razem na nocleg. To fragment większego, 200-kilometrowego szlaku, Trekking delle Leggende, łączącego trzy obszary: Val di Fiemme, San Martino - Primiero - Vanoi i Val di Fassa.

Ruszą w stronę przełęczy Passo Val di Roda. Kamienista ścieżka nie jest zbyt trudna, różnice w wysokości terenu też nie absorbują piechurów. Mogą się skupić na widokach, a te są przepiękne. W Dolomitach najważniejsze.

Kłębiące się białe chmury przysłaniają co chwila różne partie gór. Raz słońce oświetla jedno szczyty, raz drugie. To, co przed chwilą było szare, teraz jest zaróżowione, i odwrotnie. Uderzają ogromne przestrzenie, szczyty gór są odległe. Zresztą czy to szczyty? Na pewno nie w rozumieniu szczytów znanych z Tatr. Raczej pojedyncze lub zbite w grupy szpice, wieżeczki, zamczyska.

Spod kamieni filuternie wyglądają zielone kępki kwiatków z białymi (rogownica alpejska), żółtymi (mak alpejski), fioletowymi (lepnica) główkami lub granatowymi dzwonkami. Szlak znaczą białe-czerwone paski namalowane na gładkich, trzeba ich wypatrywać, ale generalnie trudno zmylić drogę. Chyba że nadejdzie mgła, o co na tych wysokościach nietrudno. Choć to środek lata i spacer zaczął się w pięknym słońcu i przy błękitnym niebie, zafamanie pogody powoduje, że

trzeba wyjąć z plecaków cieplejsze bluzy i cienkie kurtki przeciwdeszczowe. Zaczyna mżyć, śnieć, a potem padać. Nagle wszystko wokół staje się bure, monochromatyczne, płaskie.

Na szczęście po godzinie chmury deszczowe odchodzą i się przejaśnia. Na lacie zszarzałego śniegu na zboczach gór po drugiej stronie przełęczy ktoś napisał (wydeptał?) wielkimi literami ANIA. Aha, nasi tu byli.

Wreszcie wylania się sam Pala di San Martino, najwyższy szczyt na szlaku - 2983 m.n.p.m., choć nie najwyższy w grupie Pale di San Martino, bo przewyższają go cztery inne.

Nocleg pod strumą ścianą

Coraz mniej turystów na szlaku, który teraz wychodzi na kolejną szeroką pustą - kocioł Pradidali - zasypaną kamieniami i okoloną, niczym koroną, stromymi, gładkimi ścianami skał, których najwyższe czubki chowają się we mgle. Jak przyznają znawcy Dolomitów, to miejsce wyjątkowej, urody, na wet jak na te góry. Księżycowe.

Kilka godzin wędrowki daje się już nieco we znaki. Wędrowcy wypatrują schroniska, ale ciągle go nie widać, choć musi być już blisko. Wreszcie z daleka zaczyna majaczyć ciemna sylwetka. Ale to jeszcze pół godziny marszu. Zanim tam dotrą, spotkają stado białoczarnych owiec i baranów skubiących marną na tej wysokości trawę.

Kamienna budowla rifugia Pradidali (2278 m n.p.m.), ożywiona jedynie pomalowanymi w czerwone pasy okiennicami, przycupnęła pod gładkimi ścianami Cima Canali (2900 m n.p.m.), na skraju stromego zejścia do doliny Pradidali.

O ile schronisko Rosetta przypominało wesołą karczmę, o tyle Pradidali ogranicza się do funkcji miejsca odpoczynku dla zmęczonych wędrowców i alpinistów. Goście mogą tu liczyć na jeden z dwóch skromnych posiłków (np. makaron z sosem) i miejsce do spania w kilkunastoosobowej sali zastawionej ciasno piętrowymi łózkami. Czas pozostały do nocnego spoczynku mogą zabić przy grach towarzyskich na oszklonym tarasie, zastępujących gapienie się w telewizor, którego tu i tak nie ma.

Sztuka gotowania polenty

Rano dno kotła tonie w szarej mgie. Ostre słońce oświetla jedynie czubki skal, potem ogrzewa coraz większe ich części, powoli schodzi niżej. Wędrowcy, pokrzepieni snem i śniadaniem (jajka, jogurt, dżem, pieczywo), ruszają stromą, wąską ścieżką, trawersami w dół. Tam, gdzie zieleni się do-

lina. Ich celem jest Cant del Gal (1180 m n.p.m.).

Z prawej towarzyszą im pięknie rozświetlone skały Cima di Ball (2605 m n.p.m.), Sass Maor (2814 m n.p.m.) i Cimerlo (2503 m n.p.m.).

Kilkaset metrów niżej pojawiają się wreszcie krzewy, a wśród nich plac z drewnianymi ławami na odpoczynek. Schodzenie nie jest tak męczące, a przecież T-shirty są mokre od potu. Można tylko współczuć tym, którzy obrali drogę odwrotną i dopiero wspinają się do schroniska.

Po kilku kilometrach droga wchodzi do iglastego lasu. Świerki i jodły dają cień, pomiędzy nimi spływa strumyk. Jeden, drugi, trzeci. Tworzą strumień, strumień wpada do rwącego potoku. Ale i tak biegnący środkiem doliny kamienisty nurt pozostaje suchy. Jak droga w budowie, na którą zwieziono materiał budowlany i go rozrzucono, ale jeszcze nie ułożono. Prawdopodobnie rzeka wypełnia się wodą jedynie podczas wiosennych roztopów.

Wreszcie strome zejście za nimi. Kiedy wędrowcy wy-

chodzą na ostatnią prostą, czują, że nie zasłużyli na nagrodę w postaci takiego widoku - przed nimi szeroka polana otoczona nagimi skalami, jak wielka misa z dnem wysłanym zieloną trawą, z której soczystości korzystają z zapalem pasące się krowy i stado włochatych kóz. Na skraju łąki stoi stylowa chata - karczma Malga Canali.

W rogu pomieszczenia na parterze gospodyni w fartuchu, ukryta pod wielkim okapem, miesza warząchwą w miedzianym kotle zawieszonym nad paleniskiem. Kto odwiedził Dolomity, musi spróbować tutejszej specjalności - polenty, gęstej paczki z mąki kukurydzianej. Polenta nie jest wyszukanym odświeżającym przysmakiem, lecz codziennym składnikiem posiłku tutejszych górali, jak u nas ziemniaki. Niemniej gospodynie prześcigają się w gotowaniu jak najsmaczniejszej mamalygi. A sztuka polega na tym, by gotować ją długo - godzinę lub nawet trzy - cały czas mieszając.

Polenta podawana jest z sosami i bez, do mięsa, ryb lub grzybów. Zdrożeni wędrowcy,

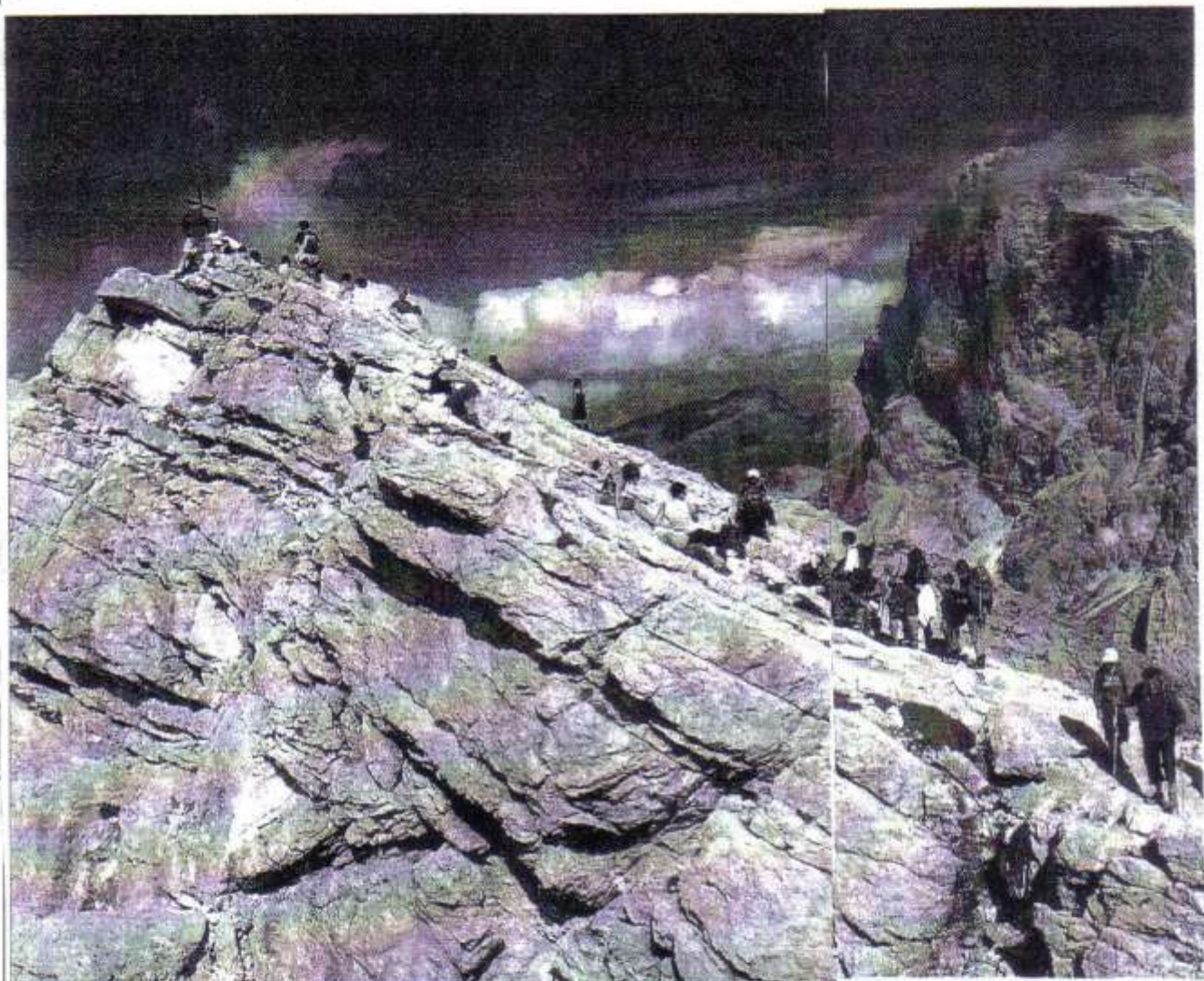
którzy rozsiedli się na ławach pod karczmą i zdjęli buty z rozgrzanych stóp, są ugoszczeni orkiszową zupą, polentą z potrawką z królika, pieczonym kurczakiem i inną tutejszą specjalnością - omletem z roztopionym serem. Aromatyczna kawa podana w malutkich jak naparstki emaliowanych kubeczkach podnosi wszystkich na cieple, a kropelka wspaniałej nalewki wieniącej posiłek - na duchu. ■



www.visitfrentino.it/pl
Informacje o wypoczynku w Dolomitach po polsku



• Schronisko Pradidali (2278 m n.p.m.) przycupnęło pod ścianą Cima Canali (2900 m n.p.m.)



* Szczyt Rosetty (2741 m n.p.m.) to ukośny taras, zbudowany z warstw osadów morskich

podróże

WYDAWCA: POLSKIE TOWARZYSTWO TATRZAŃSKIE O/PTT im.Gen. M.Zaruskiego
Organizacja Pożytku Publicznego Nr KRS 0000115547

41-200 Sosnowiec ul.3 Maja 29/4A tel: 0-32-2663815, www.sosnowiec.ptt.org.pl

Redakcja: Redaktor Naczelny - Zbigniew Jaskiernia, Krzysztof Czesak - Członek Redakcji